

Godzina policyjna!* Ten termin każdy z nas zna. Przeklinaliśmy często Niemców, że zmuszają nas do bardzo wczesnego powrotu do domu, że moglibyśmy jeszcze tak wiele spraw załatwić. A tu niestety trzeba się spieszyć. Czym prędzej podążać do domu. Jeszcze było widno! Można by chociaż pospacerować. A tu nic z tego! Ulice stawały się wymarłe, puste. Życie jednak nie zamierało. Życie kipiło! W każdej kamienicy odrębne, własne, charakterystyczne dla okupacyjnej Warszawy! Przystosowane do specyficznych warunków tworzyło się, fermentowało, wybuchało lub gasło. Każdy wiedział o każdym! Czy syn powrócił do domu? Czym mężowi dostarczono paczkę do więzienia? U kogo gra radio? Dlaczego nie pilnują lepiej ukrywającej się Żydówki? I tak bez końca. Wzajemnie się ostrzegano, doradzano, pomagano. Odszukiwali się miłośnicy brydza. Ktoś kolportował „gazetkę” po piętach, komuś rozlał się bimber i śmierdziało na całej klatce schodowej. Poznawali się ludzie dorośli, poznawała się młodzież kamienicy. Mieszkalem wtedy przy ulicy Belwederskiej 32. Spotykaliśmy się w mieszkaniu wdowy po oficerze policji, która wynajmowała pokoje i miała ładną córkę. To drugie było raczej tym magnesem, który nas wszystkich przyciągał i umiejscawiał w tym, a nie innym lokalu na długie godziny.

Jednym z kolejnych lokatorów u tej pani był przystojny, bardzo lubiany przez wszystkie kobiety blondyn. Był od nas jednak nieco starszy. Miał już za sobą dwa lata wyższych studiów. Nie ma co ukrywać. Stałem się jego „adiutantem”. Miał bardzo cenny i rzadki dar zjednywania sobie ludzi (szczególnie kobiet). Nic w zamian, oprócz uśmiechu, nie dając. To jest trudna sztuka! Znał doskonale język niemiecki. Kobiety go utrzymywały, więc nie musiał zawracać sobie głowy pracą. Miał dużo wolnego czasu, który starał się spędzić możliwie najprzyjemniej. Włóczyłem się z nim po lokalach. Miał karty wstępu do lokali „Nur für Deutsche”. Chodziłem z nim i tam. Otrzymałem specjalne zezwolenie od swoich zwierzchników. To, co tam słyszałem mogło się nam przydać. I przydawało się. On mówił biegle i głośno po niemiecku. Nawiązywał znajomości ze Ślązakami i poznaniakami. Ja milczałem. Miałem nad nim tę przewagę, że ja urodziłem się w Monachium i rozumiałem to, co do mnie i wokół mnie mówiono! Prosiłem jego, żeby mi tłumaczył na język polski. Sprawdzalem, czy mnie nie okłamuje. Ponadto on oczywiście nie miał pojęcia, że należę do organizacji podziemnej. Udałem głupka i naiwniaka.

Właśnie przy takim spotkaniu z jego starymi znajomymi, spostrzegłem któregoś dnia coś nowego. Mianowicie pojawili się w lokalu nowi goście. Młodzi ludzie w niemieckich mundurach. Mieli malinowe naszywki na kołnierzach mundurów.

* Część podanych tu informacji pokrywa się z treścią wspomnień ze stron 45-50 – zachowano oryginalny tekst autora, który nigdy nie przewidywał łącznej publikacji tych wspomnień.

Emblematem był spadochron. Odkryliśmy nową formację „Fallschirmjäger” (skoczków spadochronowych). Zawarliśmy bliższą znajomość z takim chłopakiem. Czuł się zagubiony w dużym obcym mieście. Pochodził ze wsi z Sudetów. Zaproponowaliśmy mu pokój u „naszej” wdowy. Zamieszkał u niej. Mieliśmy teraz doskonałe informacje o jego formacji. To był bardzo naiwny chłopak. Odpowiadał chętnie na nasze pytania, informował nas o metodach szkolenia takich skoczków, o stanie liczebnym jego oddziału i o najbliższych zadaniach! Przeznaczeni byli do zrzutu na terenie Związku Radzieckiego! Tuż za frontem! Oczywiście, że wyśmialiśmy go. Taki dryblas, ryży, który zna tylko jakiś dialekt czeski, nie ma żadnych szans na przetrwanie na tak szczególnie trudnym terenie, jak Ukraina czy Białoruś (to był rok 1942). Powiedzieliśmy mu, że to jest po prostu samobójstwo! Lepiej niech sobie od razu strzeli w łeb! On to opowiedział swoim kolegom. Pili do nieprzytomności! Sprytniejsi od niego celowo tak „narozrabiali”, że doczekali się karnych raportów, degradacji, czy nawet więzienia. W ten sposób nie zostali przetrzuceni. Nasz był za głupi na to. Pojechał. Drugą formacją, którą wykryłem dość wcześnie i natychmiast zasygnalizowałem o tym swoim dowódcą, był „Afrika Korps”. Mieli emblemat na pomarańczowym tle, w postaci skrzyżowanych palm. Taki emblemat spotykało się na błotnikach pojazdów mechanicznych, na czołgach i innym sprzęcie. W pewnym okresie przeszli przez Warszawę, jak fala, by zupełnie zniknąć. To był okres, kiedy skończyli szkolenie specjalne na Pustyni Błędowskiej, odpoczywali jakiś czas w Warszawie i zaczęto ich przetrzucać transportami do Włoch.

Do wiosny 1942 roku szkolono nas z zakresu wojskowości. I nagle wszystko się urwało. Powiedziano, że już koniec szkolenia. Przeprowadziłem się wtedy z rodzicami z ulicy Belwederskiej na ulicę Raszyńską 3 (Plac Zawiszy), ponieważ organizowano dzielnicę niemiecką i Polaków wysiedlano z tej dzielnicy. Urwały się też kontakty z moim „szefem”. Znalazł sobie innego „adiutanta”. Tak było lepiej. Nasza sekcja się rozpadła. Utrzymywałem tylko kontakt z Andrzejem. Więckowski i Pieńkowski powiedzieli, że ich to już nie bawi i wycofali się z konspiracji. Porucznik „Budrys” zaakceptował ten stan rzeczy. Dopiero późną jesienią 1942 roku wezwano nas do nowego lokalu (Ząbkowska róg Targowej), gdzie powiedziano nam, że jesteśmy wytypowani do szkolenia na konspiracyjnej podchorążówce! I znów rozpoczęły się nudne wykłady i ćwiczenia z „trójkątem błędów”. Pokazano nam jednak trochę broni, zamków do kb i karabinów maszynowych różnych typów. Szczególny nacisk kładziono na metody walki w mieście. Jednak, jak później wykazała własna praktyka, tego co było najistotniejsze dla walki w mieście, nie nauczono nas. Były jakieś ćwiczenia z topografii, azymut itd. Pogubiliśmy się jednak dość szybko i sprawnie w lesie i już naprawdę musieliśmy odnajdywać drogę do domu sami.



Por. „Budrys”
Przemysław
Stypiński